

## PRENUMERATA

W MIEJSCU:

rocznie . . . . . rs. 3 kop. —  
półrocznie . . . . . rs. 1 kop. 50  
kwartalnie . . . . . rs. — kop. 75

Cena pojedynczego numeru

kop. 10.

Z PRZESYŁKĄ:

rocznie . . . . . rs. 4 kop. 40  
półrocznie . . . . . rs. 2 kop. 20  
kwartalnie . . . . . rs. 1 kop. 10

# TYDZIEŃ

## OGŁOSZENIA.

za 1 razowe po kop. 7 za wiersz  
petitu lub za jego miejsce,  
za 2—6 razowe po kop. 4 za  
wiersz.  
za 7—10 razowe po kop. 3 za  
wiersz.

CENA OGŁOSZEŃ  
na pierwszej str. podwójna.  
Reklamy po 10 k. za w. petitu.  
Cena ogłoszeń zagranicznych po  
10 kop. od wiersza.

Biurow Redakcyi i ekspedycja główna, w domu W-go Michelsona obok Magistratu. — Ogłoszenia przyjmują: Redakcyja, obiedwie sięgarnie, k oraz po zagranicami guberni wyłącznie agentura „Rajchman i Frenkler” w Warszawie.

Prenumeratę przyjmują w Piotrkowie Biuro Redakcyi i obie księgarnie. W Tomaszowie rawskim księgarnia J. Mazaraki—prócz tego;

w Częstochowie	W Gaszdecki.	w Łasku	W. Grass.
w Będzinie	„ Janiszewski Stan.	w Łodzi	„ Janiszewski Leopold
w Brzezinach	„ Krzemieniecki Jul.	w Radomsku	„ Olszewski Michał
w Dąbrowie	„ Tomaszewski J.	w Rawie	„ Szewłodziński.

Wychodzi w każdą Niedzielę wraz z oddzielnym stałym Dodatkiem Powieściowym.

## Dla chłopców i dziewcząt. Jednoklasowa szkoła Gabryeli Zaremba

mieści się domu Towarzystwa Lekarskiego w rynku, obok składu aptecznego W-go Żarskiego od 4/16 sierpnia przyjmuje do nauki chłopców i dziewczęta z celem przygotowania ich do gimnazjów męskiego i żeńskiego, z czem ma zaszczyt polecić się szanownym rodzicom i opiekunom.

Przełożona szkoły

**Gabryela Zaremba.**

(3—2)

## NAUCZYCIELKA

posiadająca szkolne świadectwa, znająca język polski, ruski, początki francuskiego i niemieckiego, poszukuje miejsca na warunkach przystępnych. Wiadomość u Wielmożnego B. Olszewskiego na folwarku po-Pijarskim w „Petrokowie”.

(3—2)

Egzamina wstępne do szkoły IV-klasowej filologicznej męskiej z pensjonatem J. Popowskiego rozpoczną się w dniu 4/16 sierpnia i trwać będą do dnia 19/31 (włącznie). Lekcje rozpoczną się 20 sierpnia (1 września.) Program nauk ściśle zastosowany do programu gimnazjów klasycznych.

Przełożony zakładu

**J. Popowski**

(6—5)

Kandydat Nauk Fizyko-Matematycznych.

## 5-cio kl. Instytut Naukowy w Kielecach.

Zapis uczniów przychodnich i pensjonarzy rozpoczyna się z d. 15 sierpnia r. b. Nauki z d. 1 września. W programie obok przedmiotów klasycznych pomieszczone są i przedmioty realne. W pensjonacie konwersacja w jęz. francuskim i niemieckim przy dwóch gubernierach. Muzyka, fechtunek i lekcje tańców dla życzących.

Przełożony Instytutu W. Płoszyński.

(4—4)

## Lekcje konwersacji

języków francuskiego i niemieckiego. udziela patentowany konwersator tych języków. Wiadomość przy ulicy „Kazńskiej” dom Flattego, za fara.

(3—3)

## MULAT.

Ogier trakeński, maści karej, nagrodzony medalem na wystawie warszawskiej 1882 r., będący wówczas własnością J.W-go Stojowskiego, do sprzedania w dominium Szybczyce, odległość od stacyi Baby wiorst 8.

(7—5)

## Ogród owocowy i warzywny

mający przeszło 4 morgi, pod miastem fabrycznym, do wydzierżawienia od 1 listopada r. b. na lat 3. Wiadomość u właściciela w Biało-brzegach, przez Tomaszów Rawski.

(7—3)

## EKONOM

zdolny i energiczny; potrzebny zaraz do dóbr Marzenina, pod Łaskiem. Zgoda z właścicielem na miejscu.

(2—1)

## Nagrody Rs. 15!

W przejściu najprawdopodobniej od księgarni F. Jędrzejowicza ulicą „Petersburską” do poczty, troliurem od ogrodu po Bernardyńskiego, zgubione zostały: złota obrączka z literami E. S. 1879 r. i pierścionek z trzema małemi turkusikami.

Łaskawy znalazca za powyższą nagrodą raczy atkowe zwrócić do księgarni F. Jędrzejowicza. (3—2)

## Fałszywe drogi.

(Art. nadesł.)

Zdarzyło mi się w końcu czerwca jechać w wagonie kolejowym z pewnym szesnastoletnim młodzieńcem, który powracał do domu z gimnazjum, wioząc z sobą *świadectwo ukończonych czterech klas*. Wdałem się z nim w pogawędkę.

— Czy pan już dłużej nie myślisz kształcić się w gimnazjum?—zapytałem go.

— Nie, gdyż wstępuję po wakacjach do seminaryjum.

— A wiele masz pan lat?

— Szesnasty.

— Wybacz pan, że ośmielam się pytać — ale czy to z powołania, czy też... ot... tak, dla chleba?

— Z powołania — zabrzmiała mrukliwa odpowiedź.

— A czy też zastanowiłeś się pan nad tem, co to jest stan duchowny? Czy pomyślałeś, jakie cię tam czekają obowiązki, czego zażąda od ciebie społeczeństwo?

— Ja myślę, że przy łasce Bożej można wszystkiego dokonać.

— Tak pan sądzisz?! A skądże jesteś przeświadczony, że akurat tobie będzie ta „łaska” dana?

Młodzieniec nic się nie odezwał. Zarumienił się, odwrócił się do szyby wagonu i milczał już potem uporeczywie.

Rozmowa ta wciągnęła mnie w szereg myśli, które chcę oddać pod rozwagę naszych rodziców i pedagogów.

Czyż podobna, pytam, aby młodzieniec w piętnastym lub szesnastym roku, przytem miernych lub średnich zdolności, mógł wyrokować o swojej przyszłości? Czyż podobna, aby dziecko, co dopiero żyć zaczyna, miało zupełną świadomość tego, co ma z sobą robić? Nie, jest to kierunek fałszywy, zupełnie fałszywy! Kiedyż bo taki młodzieniec mógł wyrobić w sobie to „powołanie,” gdy do tej pory nie zastanawiał się nigdy głębiej nad sobą, nie mając zresztą żadnych ku temu pobudek. Życie w szkole szło mu gładko, rodzice zaspakajali wszystkie potrzeby materyjalne, a on myślał codziennie o tem tylko, by powrócić z gimnazjum bez miernego stopnia, by chwile wolne od nauk uprzyjemnić sobie ile można. Nie wbiegał też nigdy myślą w świat, w życie, chyba tylko wtedy, gdy go nęcił jaki owoc zakazany, lub też wstrząsnęły nim jakieś ważne i będące na dobie wypadki społeczne, o których się nasłuchiwał od starszych. Zresztą żywot jego był całkiem prostaczy, dziecinny t. j. taki, jakim być powinien.

Z jakiej tedy racyi w szesnastym roku otrzymuje prawo rządzenia sobą?..

Wogóle, rodzice nasi bezpośrednio sami dla wychowania umysłowego dzieci nie robią nic—albo też bardzo mało.

Najbardziej zaniedbaną jest u nas strona wychowania początkowego. Rodzice biorą so-

bie za zasadę, że dziecko powinno użyć swobody *zupełnej*; do szóstego więc lub siódmego roku życia nie pokazują mu książki *zupełnie*. Później zaś czując, że już „czas wziąć się do nauki”, przeladowywują go abecadkami, czytaniem, nauczaniem bajek polskich i innych, tak, że dziecko po kilku tygodniach przestaje się uczyć z przyjemności, a uczy się tylko pod wpływem strachu przed karą.

Czasem zaś dzieje się wprost przeciwnie. Czteroletniemu lub trzyletniemu dziecku pokazują elementarz, bawią się wszystkie jego zdolnościami i roztropnością, a kiedy dziecko obrzydzi sobie po jakimś czasie „zabawkę”, następują lamentacje.

Widoczny brak systematyczności i zdrowej logiki.

Ale nie o tem chcę tu mówić. Zwracam tylko uwagę i zapytuję, czemu rodzice nie dają dzieciom swym do ręki utworów literatury dziecinnej, czemu patrzą obojętnie na to, że dzieci, wstępując już do szkół publicznych, są dziwnie jałowemi, nierozwiniętymi, skarłowaciałymi i umysłowo i fizycznie?

Czyż nie właściwej byłoby w miejsce owych utyskiwań, że chłopiec nie zdał do gimnazjum, starać się wniknąć w jego umysł, zobaczyć braki, uzupełnić je, kształcić go dalej w domu i zachęcać, a nie zniechęcać do pracy, jaką ma przed sobą. Owo *pożnanie* gwałtowne do wstępnej i pierwszej klasy prowadzi za sobą to, że chłopiec robi się odrazu bezmyślnym rutynistą, i w pierwszych czterech latach nauki nie zajmuje się niczem, tylko „kuciem” zadawanych mu przedmiotów, tylko bezmyślnem wypełnianiem tego, co każą; o świecie zaś ma tylko pojęcie w zakresie stron jego ujemnych, szepcząc wciąż z kolegami, po za węglami domów, o samych brzydota, z czego się później wyradza przedwczesna apatya i... onanizm! Dziwne, doprawdy, jak u nas obojętnie patrzą na ten ostatni!.. W szkołach dzisiejszych jest to choroba tak rozwielniona, że w klasach licealnych po czterdziestu uczniów jest 50% onanistów. Myny też mają głupie, posępne, wystraszone, umysły tępe i zlodowaciałe, cerę blade-trupią. Z wielkim też trudem, z dobytciem resztek sił mózgowych kończą *cztery klasy* i już czują się tak wyczerpani, tak zmęczeni, iż określają sobie stanowczo metę, przy której należy zrzucić uczniowski mundur. Po otrzymaniu świadectwa owej pół dojrzałości otwierają się przed młodzieńcem trzy pola: apteka, seminaryjum i nauczycielstwo. Dawniej było jeszcze czwarte—wojsko; ale tam, dziś, po reorganizacji praw, wymagają skończenia sześciu klas.

Trudny kawałek chleba wiejskiego nauczyciela nie wielu nęci; sięgają więc po niego tylko uposledzeni i „zropaczeni”. Pozostaje apteka i seminaryjum. Smieszne doprawdy, że młodzież na obie te instytucje patrzy jak na rzeczy identyczne z sobą. „Wstąpię do seminaryjum — powiada młodzieniec—a jeśli się nie uda, do apteki!..”

Racya fizyka! — przypomina mi się tu owo żydowskie „aby handel szedł.” Bierze się więc z gimnazjum „świadectwo aptekarskie” (jest ono łatwiejszem od całkowitego, gdyż grecki i słowiański wypuszczają się przy egzaminie); staje się później na ulicy, przykłada się dwa wskazujące palec do siebie, kręci się niemi w pełnem oddaleniu, a później zbliża szybko do siebie. Jeżeli się spotkają — idzie się do apteki; jeżeli nie — do seminaryjum?.. Palec się nie spotkały — idę więc do seminaryjum. Tu, ma się rozumieć, od razu znajduje „powołanie i łaskę Boską”.

Tak się dzieje, jeżeli chłopcu rodzice pozostawia wolną wolę. Ale jakże przykrem jest dla tego, którego zepsuto moralnie i wyciągnięto z niego wszystkie niemal soki żywotne, gdy później rodzice proszą i błagają: „idź do seminaryjum — zrób to dla nas.” I chłopiec ma się rozumieć ulegając woli ojcowskiej — idzie. A potem... nie mówmy, co potem... Przynajmy raczej, że nieubłagany nieprzyjaciółni naszymi są ci, którzy zgangrenowanych moralnie wyrzuteków sła na stanowisko tak wielkiej wagi, jakim powinno być kapłaństwo!..

Chłopiec, świadomy do gruntu swego zepsucia, kładzie na siebie sukienkę z tem mocnem przeświadczeniem, że ona go od razu zrehabilituje, a choć później dawniejsze grzeszki odzywają się, głuszy je fanatyzmem, zaciera wobec ludzi i współkolegów hipokryzją! Nie więc dziwnego, że nie jeden ksiądz nasz nie czuje się usposobionym do niczego poza obrębem służby kościelnej. Ale zkądże i żądać, by po czterech z wielkim trudem i kłopotami skończonych klasach gimnazjalnych i pięciu latach kościelnego kształcenia się seminaryjnego, dwudziestotrzyletni kapłan znał potrzeby społeczne i wiedział jak im zaradzić?

Tłomaczenie się powszechnym brakiem kapłanów nie jest niczem uzasadnione i nie może być lekarstwem na rany, ale lichą paliatywą; bo gdzie, ale w takim powołaniu jak kapłaństwo, rak nigdy ryby nie zastąpi. Lepiej więc trzymać się zasady Żmichowskiej: że „jeden ucziwy stu złych nagro-

dzi” t. j. że jeden światły kapłan więcej zdziała, niż stu zwyczajnych.

\* \* \*

Przejdźmy teraz do starszej młodzieży gimnazjalnej i przyjrzyjmy się jej bacznie. Czem ona jest tak zmęczona — czem tak zniechęcona? Czemu patrzy na naukę tylko jak na środek, który ją zabezpieczy materyjalnie, a nie potrafi jej ukochać jako środka wiodącego do urzeczywistnienia społecznych ideałów, których nawet przed sobą nie stawia, a które same tylko zrodzić są zdolne i czyny wielkie i dusze podniosłe?.. Serce się kraje patrząc na tę zimnotę serca, na to zmateryjalizowanie dusz młodzieńczych.

One nie radzą się ani rozumu, ani serca, z żadnej ze spraw swych żywotnych!

Jakież smutne jest dziś położenie młodzieży, która otrzymuje patenty dojrzałości.

Po ośmiu latach ciężkiej pracy, staje na rozdrożu, nie wiedząc, jaki sobie zawód obrać!.. Medyków i prawników jest już aż nadto; filologów również; na matematykę idą specjalnie uzdolnieni. Cóż więc się robi? Nie — uczy się dalej, klepie biedę i czeka zmiłowania losu. Z tego też wynika, że wszyscy „mijają się z powołaniem”, że prawnik nudzi się akwokatą i skazany jest na życie wegetacyjne, że filolog niema wyobrażenia o pedagogii i nie umie jej zastosować w szkole, i t. d. i t. d.

Lecz czy po za obrębem adwokatury, medycyny, filologii i matematyki, niema już dla naszej młodzieży zawodów, w którychby mogła żyć i być pożyteczną krajowi i społeczeństwu?.. Czyż mało mamy fabryk, gdzie uzdolnionych polaków niema wcale?.. Więc wiecznie tylko slychać będzie deklamacyje na ten temat, a czynu ani za grosz?.. Więc ten fałszywy wstyd przed fartuchem i drewnianymi butami farbierskimi nie porzuci nas nigdy?..

Zkąd ma się wziąć żywotność nasza, zkąd wynalazczość, twórczość, kiedy się wszyscy pchamy do posad, na którychbysmy w swobodnem *dolce farniente* żyć mogli?.. Kiedy — ale dziś właśnie, pora do skierowania się na inne tory, dziś pora do zruzenia tej śmiesznej pychy z serca, której się nie wstydzimy wobec naszych nieprzyjaciół,

kiedy ci odmawiają nam zewsząd zdolności wytwórczych i racji bytu!..

Dotychczasowe rugowanie nas przez Niemców było tylko powodem do utyskiwań i narzekania na swój los. Ale czy pełnęło kogo na właściwą drogę?.. Wciąż jeszcze nie robimy nic dla polepszenia naszego losu... nie zupełnie; ale zato krzyczymy, krzyczymy coraz więcej, nie pomnąc, że tym rany nie zabliznimy.

Do czynu tedy, do pracy prostej, wyrobniczej, nawołujemy naszą młodzież; nie spychajmy jej z drogi rozsądnych podszep-tów rozumu i serca; dajmy jej poznać, że stokrój więcej dla sprawy ojczystej zrobi, gdy porzuci z tronów rozmaitych bawel-nianych i perkalowych niemieckich królów, niż gdy się pchać będzie na stanowiska medyków, prawników i pedagogów, których mamy nad potrzebę!..

Na tej tylko drodze nasza siła — jest to jedyna droga do celu. Jan Lor.

## Wiadomości Bieżące.

— **W dopełnieniu** podanej przez nas w zeszłym tygodniu wiadomości o wyborze nowego Prezesa tutejszej dyrekcji szczerłowej, dodajemy, że dotychczasowy Prezes tejże dyr., radca Romocki, w trakcie rozpoczęcia wyborów, tj. w chwili przystąpienia do balotowania, złożył swój mandat radcowski.

— **Zabawa kwiatowa** odbędzie się w Piotrkowie od dziś za tydzień. Dochód z takowej przeznaczona się na rzecz miejscowej straży ogniowej.

— **Ostrzeżenie.** Jeden z tutejszych urzędników, przy oglądaniu fabryk w Sosnowcu, znalazł w jednej pewien nieporządek, który mógł narazić mieszkającego za granicą właściciela na duże straty i przykrości. Na prośbę jednak odpowiedzialnego zawiadowcy fabryki, zostawił temuż paromiesięczny do sprostowania spostrzeżonych nehybów termin, stosownie do obowiązujących przepisów, czyniąc to zupełnie bezinteresownie. Zawiadomiony o tem właściciel żyd, zakomu-

## DWAJ PRZYJACIELE

przez

**Guy de Maupassant**

przetłumaczyła St. B.

Paryż był obleżony, zgłodniały, konający. Wróble coraz rzadziej ukazywały się na dachach, w kanałach miejskich brakowało już szczurów i myszy. Jedzono byle co.

Pewnego pogodnego, styczniowego ranka, przechadzał się z rękami w kieszeniach i o pustym żołądku p. Morissot, zegarmistrz z profesyi, a w obecnej chwili fabrykant pantofli; raptem zatrzymał się na widok jego-kości, w którym poznał swego przyjaciela. Był to p. Sauvage — znajomość z nad brzegu rzeki.

Przed wojną, co niedziela wychodził Morissot z domu o świcie, z łaską bambusową w rękę i z blaszanem pudełkiem na plecach. Dojeżdżał koleją do Colombes, zkąd piechotą udawał się na wyspę Marante. Tu natychmiast zarzucał wędkę i łowił ryby do późnego wieczora. Co niedziela spotykał tam małego, pulchniutkiego, wesołego człowieka, pana Sauvage, fabrykanta nici z ulicy Notre Dame de Lorette, również zapalonego miłośnika rybołówstwa. Spędzali często pół dnia nad wodą, siedząc obok siebie z wędkami w rękę. Uczuli też sympatyje jeden dla drugiego i zaprzyjaźnili się.

Bywały dni, że nie mówili do siebie wcale; lecz nie mówiąc nic, rozumieli się doskonale. Mieli jednakowe upodobania, jednakowych doznawali wrażeń.

Na wiosnę, około dziesiątej rano, kiedy od-

młodzone słońce kąpało swe promienie w cichych falach rzeki i oblewało plecy zapalonych rybaków ożywczem ciepłem, Morissot mawiał niekiedy do swego sąsiada: „He, co za rozkosz!” A p. Sauvage odpowiadał: „Nie znam nic przyjemniejszego.” I to im wystarczało, aby się wzajemnie rozumieli i szanowali.

Jesienią, na schyłku dnia, gdy horyzont płonął w ogniach zachodu, gdy niebo odbijało w wodzie szkarłatne obłoki, strojąc w purpurę rzekę całą, a słońce oblewało ognistym światłem naszych dwóch przyjaciół i złościło pożółkłe już i drzące przed podmuchem nadchodzącej zimy drzewa, p. Sauvage spoglądał na Morissota i uśmiechając się mówił: „Ach, co za widok!” A Morissot, zachwycony, nie odrywając oczu od swego spławka, odpowiadał: „To piękniejsze niż bulwar, nieprawdaż?”

\* \* \*

Spostrzegli się teraz wzajemnie, uścignęli sobie ręce, obaj wzruszeni, że się w tak odmiennych spotykają okolicznościach. P. Sauvage szepnął z westchnieniem: „Co za niespodziane wypadki.” Morissot jęknął przygnębiony: „A jaki czas! dziś mamy pierwszy pogodny dzień w tym roku.”

Niebo było istotnie błękitne i jasne.

Ruszyli dalej razem, zamysleni i smutni. Morissot zaczął: „A nasze wędki? co? miłe wspomnienie?”

Więc p. Sauvage zapytał: „I kiedyż znowu będziemy mogli iść na ryby?”

Wstąpili do małej kawiarni i wypili po kieliszku piolunówki; poczem znów zaczęli przechadzać się po trotuarze.

Nagle Morissot zatrzymał się: „A możeby

jeszcze kieliszek? co?” P. Sauvage odpowiedział: „owszem” i weszli do drugiego handlu.

Byli jak nieswoi po wypiciu wódki, wychodząc jak zwykle naczczo. Tymczasem ciepły, łagodny wietrzyk, nęcił ich na przechadzkę i rozmarzał.

P. Sauvage, którego ostatecznie upoiło świeże powietrze, zatrzymał się.

— A gdybyśmy tak poszli? — zapytał.

— Dokąd?

— No, na ryby.

— Ale dokąd?

— Na naszą wyspę. Przednie straże francuzkie stoją w Colombes. Znam pułkownika Dumoulin; pozwoli nam przejść z łatwością.

Morissot zadrżał z zachwytem.

— Dobrze, jestem gotów.

Rozstali się, żeby zabrać swoje przybory.

W godzinę później szli szosą obok siebie. Wkrótce dotarli do willi, w której mieszkał pułkownik. Usłyszawszy ich żądanie uśmiechnął się, i przystał na dziwaczną prośbę. Udali się więc w dalszą drogę, zaopatrzeni w kartę wolnego przejścia.

Wkrótce minęli przednie straże francuzkie i znaleźli się w niewielkich winnicach nad brzegiem Sekwany. Dochodziła jedenaasta godzina.

Przed nimi wioska Argenteuil zdawała się wymarłą. Wzgórza Orgemont i Sannois wznosiły się na widnokręgu; wielka równina, ciągnąca się aż do Nanterre, była pusta, bezładna; na szarem tle jej pól, gdzieś niedługo tylko widniały nagie, wiśniowe drzewa.

P. Sauvage wskazał palcem na wzgórze

nikował niebawem fakt ten innym fabrykantom niemcom, którzy zamiast w cichości sprostować u siebie podobne uchybienia, puścili w kurs cały szereg oszezerstw na urzędników, jakoby ci czynili im rozmysłne szkazy jedynie w celu *wyzyskiwania*.. Panowie ci mieli otwarcie wypowiedzieć zdanie, iż żadnych kosztownych melioracyj, wymaganych przepisami, czynić u siebie nie potrzebują, bo niemasz nadużycia, którego by nie zdołali oni obejść lub obronić pieniądze!

Świeży ten, autentyczny fakt, podajemy dla przestrogi panów urzędników, projektując, aby żadnych ulg niemcom nie świadczyli, gdyż chyba aż nadto dosyć złożyli oni i składają wciąż dowodów na to, że na żadne ulgi nie zasługują.

— **Welocypedyści tutejsi** w przeszłą niedzielę wyjeżdżali do Łodzi na spotkanie warszawskich czterech kolegów, z którymi następnie przybyli do Piotrkowa. Wzmiankowani czterej goście - cykliści wyjechali z Warszawy w sobotę o godzinie 4 z rana, a przyjechali do Łodzi o 4 po południu; do Piotrkowa zaś wieczorem o 10-ej. Z powrotem do Warszawy, widocznie strudzeni, udali się nazajutrz koleją.

— **Sprzeduże dóbr.** Na subhastacji w tutejszym sądzie okręgowym sprzedane zostały w dniu 6 b. m. dobra Wola Kamocka z powiatu piotrkowskiego za rs. 42,475 (włók 18 mórg 8); nowonabywcą jest p. Maryja z Narbutów Markiewicz. Na licytacji za zaległości Tow. Kredytowego, sprzedano w dniu 21 b. m. dobra Brudziec z powiatu radomskiego za rs. 58006 (włók 67 mórg 23); nowonabywcą jest p. Michał Szwajcer. Wreszcie dnia 3 b. m. p. L., Oleszkiewicz nabył z wolnej ręki za rs. 26,000 dobra Wdowin za wyłączeniem 18 włók lasu; dobra te kupione były w r. b. w marcu na licytacji, za rs. 35,310 wraz z lasem (włók 31 mórg 9) przez A. Rajchmana i F. Aleksandrowicza.

— **Rada Zarządzająca** Towarz. Dobroczyń. zanosi uprzejmą prośbę do szanownych Opiekunek rewirów, które przyjęły kontrolę nad książeczkami dobrowol-

nych ofiar dla żebraków, aby raczyły obecnie uregulować rachunki, ze względu na porządek kasowy. Rachunki pomienione załatwia, jak dawniej, kasyjer Gampf.

— **Do Towarzystwa Dobroczyńności**, następujący członkowie honorowi tegoż towarzystwa wnieśli składki: po rs. 3 za drugie półrocze pp. Dzwonkowski Nikodem, Pawłowski Mikołaj, Zajdler Edward, Klicki Władysław, Ludwikiewicz Aleksander, Kempński Felicyjan, Otto Władysław, Galiński Nikodem, Gustowski Antoni, Skibiński Jan, Tomczyński Franciszek, Wolberg Walbórski Bernard, Wolf, Robakowski Franciszek, Szukalski Jan, i Jasiński Stanisław, (nowy członek) Rs. 10 za kwartał IV p-ni Klementyna Psarska.

— **Biegunka** i biegunka krwawa z nastąpieniem upałów ponownie i częściej zaczęła się ukazywać.

— **W ochronce** w ubiegłym miesiącu, w przeciągu 26 dni otrzymało dziennie pożywienie 1167-ro dzieci.

— **Projekt** p. J. Jeziorańskiego. W towarzystwie popierania przemysłu i handlu zwraca na siebie obecnie uwagę projekt p. Józefa Jeziorańskiego, utworzenia „Towarzystwa zaprowadzenia lasów” Myśl godna wykonania. W ciągu ubiegłych lat 20, gdy zachwiana własność ziemską w sprzedaży lasów znajdowała najdzielniejszą pomoc finansową, kraj stracił olbrzymie przestrzenie leśne, zyskując natomiast wiele nieużytków, które przez zadrzewienie mogłyby stać się nowem źródłem bogactwa. Że znajdują się majątki chętne do zaprowadzenia lasów, o tem nie godzi się wątpić; należy tylko wynaleźć fundusze na pokrycie przywiązanych do tego wydatków. W tym właśnie celu p. J. proponuje zawiązanie towarzystwa wzajemnego, z wzajemnem ubezpieczeniem lasów od ognia, któreby rozpoczęło swe czynności z chwilą zebrania podpisów na 300,000 rs. kapitału, 30,000 rs. gotówki i deklaracji na 1,000 morgów gruntów pod las zakwalifikowanych. Wnioskodawca popiera swój projekt szczegółowemi wyliczeniami, które będą przedmiotem rozpraw na posiedzeniach towarzystwa.

## O podziale historii prawa polskiego na okresy.

Rys krytyczny poglądów na całokształt dziejów dawnego prawa i Państwa polskiego

napisał

**Edmund Dylewski**

Kandydat nauk prawnych.

Il faut éclairer l'histoire par les lois et les lois par l'histoire.

Montesquieu.

### § I. Rzut oka na literaturę przedmiotu.

(Dalszy ciąg—patrz № 34).

O ile badania Bandtkiego i Maciejowskiego gruntowały się na podstawie faktów, wziętych z rzeczywistego prawnopństwowego życia dawnej Polski, o tyle współczesny im *Joachim Lelewel* odmienną od nich posługiwał się metodą: fakty nie mają dlań wielkiego znaczenia, schodzą na dalszy plan ogólnego wątku dziejów, ustępując miejsca filozoficznemu wywodom i logicznym sylogizmom. Takie cechy posiada niezmiernie dla nas ważna praca Lelewela p. t. „*Considerations sur l'état politique de l'ancienne Pologne et sur l'histoire de son peuple. Paris et Lille 1844.*” Na język niemiecki przełożył ją *Johan Sporschil* p. t. „*Betrachtungen*” etc. W lat dziesięć wydał Lelewel swą pracę w języku polskim p. t. „*Uwagi nad dziejami Polski i jej ludu*”, zamieściwszy takową w trzecim tomie zbiorowego wydania swych dzieł p.t.: „*Polska, dzieje i rzeczy jej, rozpatrywane przez Joachima Lelewela, Poznań 1855.*” „Uwagi” Lelewela—to nie przekład, a raczej poprawne i uzupełnione wydanie pierwowzoru francuzkiego (\*).

Co do treści „Uwag”—są one owocem długoletnich rozmyślań i badań, które niejednokrotnie Lelewel musiał przerywać i do których po kilkakroć w życiu powracał. Zamiarem jego było poświęcić im znaczną część do rozmiarów pracy zbadać polityczne

(\*) „Przepracowanie na nowo niepodobne było. Dodałem, co pod pióro wpadło, nie zaniedbałem”. Lelewel, Wydanie zbiorowe. Tom III str. 27.

i szepnął: „Tam są prusacy.” Dziwny jakiś niepokój ogarnął obu przyjaciół na widok tego spustoszonego kraju.

— Prusacy!

Nigdy nie widzieli ani jednego z nich; lecz już od wielu miesięcy czuli ich około Paryża, niszczących Francję, grabiących, mordujących, niosących głód i pożogę, niewidzialnych a wszechmocnych! I jakaś zaboronna trwoga budziła się w nich, obok nieważności do tego nieznanego lecz zwycięzkiego narodu.

— A gdybyśmy ich przypadkiem spotkali?—wybelkotał Morissot.

P. Sauvage, jak prawdziwy paryżanin, odpowiedział, nadrabiając miną:

— Zaprosilibyśmy ich na smażoną rybę.

Bali się jednak iść dalej, onieśmieleni ciszą panującą dokola.

W końcu p. Sauvage zdecydował:

— Idźmy naprzód, lecz ostrożnie...

Szli więc przez winnicę zgięci we dwoje, czolgając się, kryjąc się między drzewami, nadsłuchując i rozglądając się niespokojnie.

Od rzeki dzielił ich jeszcze kawałek niezem nicosłoniętego pola. Zaczęli więc biec, a dotarwszy do brzegu, ukryli się w trzcinie.

Morissot przyłożył ucho do ziemi, aby się przekonać, czy się kto nie zbliża. Nic nie było słychać. Byli sami, zupełnie sami.

Uspokoił się i zabrali się do łowienia.

\* \* \*

Opuszczonego wyspa Marante zaślaniała ich od przeciwnego brzegu rzeki. Mały domek restauratora był zamknięty; wyglądał jakby w nim nikt od wielu lat nie mieszkał.

P. Sauvage pierwszy złapał karasia; Morissot wyciągnął drugiego; potem co chwila któryś z nich podrywał wędkę, wyciągając drgającą na haczyku srebrzystą rybkę.

Prawdziwie cudowny był połów.

Złowione rybki wpuszczali ostrożnie do gestej siatki zanurzonej w wodę przy brzegu. Doznawali niewysłowionej rozkoszy, takiej rozkoszy, jaką nam sprawia ulubiona rozrywka, jeśli byliśmy jej przez długi czas pozbawieni.

Słoneczko wygrzewało im plecy, a oni nie słyszeli, nie myśleli o niczem, o Bożym nie wiedzieli świecie: — łowili ryby!

Naraz, głuchy odgłos, jakby wychodzący z pod ziemi, wstrząsnął powietrzem. To działa zaczynały grzmieć znowu.

Morissot odwrócił głowę i ujrzał w dali za rzeką, ciemną sylwetkę góry Valerien, nad szczytem której unosiła się smuga białego dymu.

Wkrótce drugi obłok ukazał się na wierzchołku, i po chwili nowy huk się rozległ.

Po nim nastąpiły inne i góra wyrzucała z siebie co chwila kłęby białego dymu, co unosząc się powoli wśród cichego nieba, utworzył nad szczytem jej formalny obłok.

P. Sauvage wzruszył ramionami i rzekł:

— Znowu zaczynają swoje.

Marissot, który spokojnie przyglądał się, jak piórkó jego wędki od czasu do czasu zanurzało się w wodzie, naraz wpadł w gniew na tych szaleńców co się tak biją, i mruknął:

— Trzeba być głupim, żeby się tak mordować.

A p. Sauvage dodał:

— To gorzej, niż zwierzęta. Morissot, który właśnie złapał był płotkę, odrzekł:

— I pomyśleć sobie tylko, że tak będzie zawsze, dopóki istnieć będzie przemoc na świecie...

— Rzeczpospolita—zaważył Sauvage—nie wypowiadała wojny...

Lecz Morissot nie dał mu dokończyć.

— Przy królach—rzekł—bywa wojna zewnętrzna, przy rzeczpospolitej wewnętrzna.

Tak pomału, zaczęli sobie bezpiecznie dysputować, rozwiązując wielkie zagadki polityczne z tym rozsądkiem, który cechuje ludzi spokojnych i łagodnych, przekonanych, że nigdy nie może być bezwzględnej na świecie wolności.

A góra Valerien tymczasem grzmiła wciąż, jednym uderzeniem kuli miażdząc ludzi i zwierzęta, kres kładąc wielu ludzkim marzeniom, wielu oczekiwaniom radościom, siejąc w sercach żon, córek i matek, cierpienia bez granic...

— Otóż to jest życie!—wyrzekł pan Sauvage.

— Powiedz pan raczej, że to jest śmierć—odparł, śmiejąc się, Morissot.

Wtem nagle zadrżeli obaj, słysząc czyjeś kroki za sobą. Obróciwszy się, ujrżeli tuż za plecami czterech ludzi, czterech brodatych drabów, uzbrojonych, odzianych jak lokaje w liberyi i w płaskich kaszkietach, z fuzyjami ku nim wymierzonymi.

Wędki wypadły im z rąk i popłynęły z wodą.

W ciągu kilku minut pochwycono ich, skrepowano, wrzucono do łodzi i przewieziono na wyspę.

i społeczne życie Polski w najdrobniejszych nawet szczegółach, rozpatrzyć się w stosunkach, zgłębić wszelkie zmiany i przewroty, jakie miały miejsce w prawno-państwowym i społecznym życiu narodu polskiego. W tym celu zbierał Lelewel notatki, z których możnaby było zbudować kilkutomowe dzieło. Okoliczności — stanęły temu na przeszkodzie. Idąc za głosem serca i obowiązku, przyjął na swe barki zadanie, z którym w żaden sposób nie dała się pogodzić praca naukowa. Tułaczka po za granicami kraju również nie mogła dodatnio na bieg jego zajęć oddziaływać. W takim położeniu, wspomagany jedynie pamięcią, nie mając pod ręką niezbędnych źródeł, musiał się ograniczyć jedynie na napisaniu luźnych uwag, mających za przedmiot głównie lud wieśniaczy. (5) Uwagi nad dziejami Polski stanowią właściwie zarys dziejów stosunków państwowych w Polsce, w którym główną uwagę autor zwraca na powstanie, rozwój i upadek stanów i klas społecznych. Z tych przeto powodów „Uwagi” Lelewela zaliczyć należy do prac z zakresu prawa polskiego i jego dziejów.

Zalety tej pracy niewielkie: wprawdzie, zapatrywania Lelewela są najzupełniej samoistne i uderzają swą oryginalnością, dotyczą bowiem tej wielkiej bolączki ustroju państwowego Polski — mianowicie losu ludu prostego i jego znihilowanego stanowiska w państwie, — lecz myśli jego, obficie rzucone na papier, nie są ujęte w system, nie wiążą się w jednolitą całość, lecz biegną luzem jedna obok drugiej, skutkiem czego „Uwagi” czynią na czytelniku wrażenie opowiadania „de omnibus et quibusdam aliis”. Pomimo to jednakże, jako pierwsza próba nakreślenia charakterystyki stosunków prawno-państwowych w Polsce z samoistnego punktu widzenia, jako praca, biorąca rozbrat z zużytemi i zwietrzalymi nieco poglądami i szukająca nowych dróg w badaniach dziejów Polski, „Uwagi” zasługują na uwzględnienie.

Po pracach Bandtkiego, Maciejowskiego i Lewelesa, uczeni skierowali swe usiłowania ku wydawaniu pomników prawodaw-

(5) Tamże str. 4.

stwa i nauki prawa dawnej Polski; — jeżeli zaś ten lub ów historyk występował z samodzielną pracą miała ona charakter monograficzny lub okolicznościowy.

Dopiero w lat dwadzieścia ukazała się w druku praca *Walentego Dutkiewicza* p. t. „Program do egzaminu z historii praw, które w Polsce przed wprowadzeniem Kodeksu Napoleona obowiązywały. Warszawa 1867—1869. Zeszytów 4. Taż książka wyszła powtórnie pod odmiennym, więcej z treścią jej zgodnym tytułem: „Prawa cywilne, jakie w Polsce od r. 1347 do wprowadzenia kodeksu Napoleona obowiązywały. Warszawa 1869.

Dutkiewicz, b. dziekan wydziału prawnego i profesor prawa polskiego w b. Szkole Głównej w Warszawie, jako członek Najwyższej komisji egzaminacyjnej, na zlecenie tejże, miał napisać program do egzaminu aplikantów sądowych z historii praw polskich i obcych, jakie do roku 1810 u nas miały moc obowiązującą. Oto geneza wyż wzmiankowanej pracy.

„Program” Dutkiewicza stanowi właściwy wykład zasad dawnego prawa prywatnego polskiego i składa się ze wstępu i czterech części: we wstępie autor podaje źródła prawa polskiego i spis alfabetyczny wyrazów, używanych w dawnej polsko-lacińskiej terminologii prawnej; część pierwsza — zawiera w sobie wykład prawa osobowego i familijnego; część druga — prawo rzeczowe i spadkowe; część trzecia — zobowiązania, a w części czwartej daje rys organizacji sądownictwa i wykład zasad procedur: polskiej, pruskiej, austriackiej i francuskiej.

Niezwykle jasny wykład, stałość i pewność zasad, treściwość i zwięzłość stylu, obfitość wskazówek co do literatury każdej, nieomal rozbieranej kwestyi — czynią pracę Dutkiewicza bardzo ważną i użyteczną dla nauki prawa polskiego.

Jednocześnie z pracą Dutkiewicza ukazało się w druku dzieło profesora Wszechnicy Jagiellońskiej *Piotra Burzyńskiego* p. t. „Prawo polskie prywatne napisane i poświęcone pamięci ubiegłych w roku 1864 pięciu-set lat istnienia akademii krakowskiej przez P. B. etc.” Kraków. Tom I 1867 r. Tom

II 1871 r.

Najważniejszy zarzut, jaki krytyka naukowa dziełu temu stawia, jest ten, iż prof. Burzyński wyklada prawo polskie według systemu, przyjętego przez uczonych niemieckich dla prawa rzymskiego. Autor wstawia zasady prawa polskiego w ramki romanistów: z dzieła widnem jest, iż stara się on przedstawić prawo polskie nie tak, jak ono z biegiem wieków się ukształtowało, lecz usiłuje zasady jego uczynić podobnymi do zasad prawa rzymskiego i niemieckiego, wprowadza nawet do swego wykładu odmienną terminologiję prawną, nieznaną w praktyce i teorii dawnego prawa polskiego, a pozbawiając je tym sposobem cech odrębnych, zaciera właściwe mury indywidualne i utrudnia w wielu razach jego zrozumienie. Niezależnie od tego, dzieło powyższe tak rażąco jest przepelnione błędami, że śmiało powątpiewać można, czy autor kiedykolwiek studiował samodzielnie prawo polskie.

Niewdzięczną, choć mozolną pracę sprostowania błędów prof. Burzyńskiego podjął Dutkiewicz w broszurze p. t. „Uwagi nad dziełem „Prawo polskie prywatne Piotra Burzyńskiego,” Warszawa. Nakładem biblioteki umiejętności prawnych 1873.

Jestto krytyka pracy Burzyńskiego, zawierająca szczegółowy rozbiór tejże. Na pochwałę tej oceny to tylko powiedzieć można, iż mało jest krytyk, z którychby czytelnik tak wiele mógł skorzystać, jak z broszury Dutkiewicza. Posługujący się dziełem Burzyńskiego musi tę ostatnią mieć pod ręką, inaczej bowiem bałamutne przyswoi sobie zdania. (6)

Pod jednym jednakże względem dzieło prof. Burzyńskiego korzysta się od innych wyróżnia, a nawet nad nimi góruje: znajdujemy tu bardzo szczegółowy wykaz źródeł i opracowań dawnego prawa polskiego; jest on tak obszernym, iż cały tom pierwszy literaturze przedmiotu prawie wy-

(6) Wyż wspomniana krytyka i pod innym jeszcze względem zasługuje na uwagę: znajdujemy tu wiele uwag krytycznych, dotyczących drugiego wydania „Historji prawodawstw słowiańskich” Maciejowskiego, z którego Burzyński pełną garścią czerpał.

Tu, za domem, który wydawał im się opuszczonym, ujrzeni ze dwudziestu pruskich żołnierzy. Jakiś obrośnięty olbrzym, siedzący na krześle jak na koniu, z ogromną porcelanową fajką w zębach, zapytał ich doskonałą francuzczyzną:

— Cóż, panowie, dobry był połów?

Jeden z żołnierzy złożył u stóp oficera siatkę, pełną rybek, której nie omieszkało zabrać. Prusak uśmiechnął się.

— Ooo! widzę, że szczęście służyło. Ale nam idzie o co innego; nie obawiajcie się. Posłuchajcie tylko: dla mnie wy jesteście szpiegami, wysłanymi na zwiady; schwytałem was i każę rozstrzelać. Udawaliście, że łapiecie ryby, aby lepiej ukryć swoje zamiary; dostaliście się jednak w moje ręce — tem gorzej dla was. To wojna, moi panowie.

— Ponieważ przebyliście przednie straż francuzkie, musicie zatem znać hasło. Wydajcie je, a daruję wam życie.

Dwaj przyjaciele, wyleknieci, stali obok siebie — ręce im drżały nerwowo — mierzeli.

Oficer zaczął znowu:

— Nikt nie będzie o tem wiedział; powróćcie bez przeszkody. Tajemnica zostanie przy was i zaginie nazawsze. Jeśli odmówicie, czeka was śmierć natychmiastowa. Wybierajcie.

Stali nieruchomi, nie otwierając ust.

Prusak, zawsze spokojny, ciągnął dalej, wskazując na rzekę:

— Pomyslcie, że za pięć minut będziecie tam, na dnie. Za pięć minut! Musicie przecież mieć rodzinę...

Wzgórze Valerien grzmiało wciąż.

Dwaj rybacy stali w milczeniu. Niemiec rzucił rozkaz żołnierzom w swoim języku;

następnie odsunął swoje krzesło, aby się nie znajdować zbyt blisko jeńców. O dwadzieścia kroków od nich ustawiło się w rząd dwunastu karabinierów.

Oficer jeszcze spróbował:

— Daję wam minutę do namysłu; ani jednej sekundy więcej.

Następnie podniósł się szybko, zbliżył się do francuzów, a ująwszy Morissot'a za ramię, odprowadził go na stronę i szepnął:

— Powiedz pan hasło! pański towarzysz nie będzie nic o tem wiedział. Będę udawał, że m się rozczulił.

Morissot mierział.

Prusak odprowadził na bok p. Sauvage i zrobił mu tę samą propozycję.

P. Sauvage nie odpowiadał nic.

Znaleźli się znowu obok siebie.

Oficer skomenderował. Żołnierze wycelowali.

Wtem wzrok Morissot'a padł na siatkę z rybami, leżącą na trawie, o kilka kroków od niego.

Żywe jeszcze rybki, ruszały się i polyskiwały na słońcu. Opanowało go dziwne wzruszenie. Mimo całego wysiłku, oczy jego zasłyły łzami.

— Żegnam pana, panie Sauvage — wybełkotał.

P. Sauvage odrzekł:

— Żegnam pana, panie Morissot.

Podali sobie ręce; dreszcz mimowolny przebiegł ich od stóp do głowy.

— Ognia! — krzyknął oficer.

Dwanaście strzałów padło jak jeden.

P. Sauvage padł twarzą na ziemię. Morissot wyższy, zachwiał się, zatoczył i upadł na swego towarzysza, z oczyma ku

niebu. Kilka małych strug krwi sączyło się z pod jego paltota, podziurawionego na piersiach.

Tymczasem Niemiec wydał nowe rozkazy. Żołnierze się rozbiegli, następnie powrócili, niosąc sznury i kamienie, które przywiązywawszy do nóg trupów, zaniesli je na brzeg.

Wzgórze Valerien grzmiało wciąż; po nad niem unosiła się już chmura dymu.

Dwóch żołnierzy ujęło Morissota za głowę i za nogi; dwóch innych w podobny sposób podniosło p. Sauvage. Ciała, kołysane silnie przez chwilę, rzucone potem daleko, zakreśliły w powietrzu linję krzywą i zanurzyły się w wodę, w stojącej pozycji, gdyż kamienie pociągnęły najprzód nogi.

Woda rozprysnęła się, zagotowała, zawrzała, potem powoli się uciszyła, a szerokie koła rozeszły się aż do brzegu po jej powierzchni, na której pozostało tylko trochę krwi.

Wtedy oficer, spokojny i pogodny, rzekł półgłosem:

— Teraz przyszła kolej odwetu na ryby. I zawrócił ku domowi.

Dostrzegłszy na trawie siatkę, podniósł ją, obejrzał, uśmiechnął się i zawołał:

— Wilhelm!

Przybiegł żołnierz w białym fartuchu.

— Usmażyć mi zaraz te rybki, dopóki są jeszcze żywe. To będą prawdziwe delicyje.

I usiadł palić swą fajkę.

łącznie jest poświęcony. O ile nam wiadomo, żadne dzieło nie zawiera w sobie tak obfitych pod tym względem wskazówek co do prawa polskiego. Zaletą to jest wielką dzieła prof. Bobrzyńskiego, na szczególne zaznaczenie niewątpliwie zasługującą. W wykazie tym są wprowadzone przeoczenia (autor np. nawet wzmianki o historii prawa polskiego Bandtkiego nie czyni); trafiają się jednak bardzo rzadko.

Dla zupełności niniejszego rysu literatury prawa polskiego, wspomnieć tu należy o dziele Antoniego Zygmunta Helcla p. t. „Dawne prawo prywatne polskie. Nakładem Akademii umiejętności w Krakowie 1874 r.”

A. Z. Helcel był profesorem uniwersytetu jagiellońskiego i tu w latach między rokiem 1549, a 1853 wykładał prawo polskie. Wtedy to, prawdopodobnie, napisał swój kurs tego przedmiotu dla słuchaczy. Zajęty jednak wydawaniem „Starodawnych prawa polskiego pomników” nie drukował go. W papierach, które przed śmiercią przekazał komisji historycznej Akademii krakowskiej, znalazły się prace jeszcze drukiem nie ogłoszone, z których szczególnie na wyróżnienie zasługiwały: „Dawne prawo prywatne polskie” i „Historja dawnego prawa polskiego.” Akademia postanowiła wydać te prace własnym kosztem i zaleciła prof. Bobrzyńskiemu, aby takowe przejrzał i do druku przygotował. (7) Dotąd ujrzała światło dzienne tylko pierwsza z pomienionych prac. Nadmienić tu jednak należy, iż jest ona nieskończoną: prócz wstępu i części ogólnej, mamy tu wykład o osobach, jako przedmiotach praw i o prawach rzeczowych.

Pod względem zalet—praca Helcla najwięcej przypomina nam „Program” Dutkiewicza: tak sama treściwość i jasność wykładu, tak sama pewność zasad, tak sama obfitość danych co do literatury przedmiotu. Zdaniem Akademii, badania innych uczonych co do prawa polskiego dotąd w niczem nie wyprzedziły badań Helcla, i praca jego wprowadza do nauki wiele nowych, dokładnie umotywowanych poglądów i pojęć prawnych. Żałować jedynie wypada, że prof. Bobrzyński nie podjął pracy dokończenia dzieła Helcla.

Do rzędu dzieł, prawa polskiego dotyczących, należy zaliczyć również książkę prof. uniwersytetu krakowskiego Michała Bobrzyńskiego p. t. „Dzieje Polski w zarysie. Warszawa 1979”

O książce tej, wydanej powtórnie w dwóch tomach w r. 1880, tyle w swoim czasie napisano krytyk i recenzji, że byłoby tu zbyt długim zaznaczać czytelnika z jej treścią. Wytłomaczyć się jednak winniśmy, dlaczego zaliczamy ją do rzędu opracowań, przedmiotu naszego dotyczących. Otóż, sądząc powierzchownie, mógłby ktoś twierdzić, iż praca prof. Bobrzyńskiego to Dzieje Polski w tem znaczeniu, w jakim wszyscy wogóle dzieje rozumieją. Zdanie to jednakże, jakkolwiek sam autor za nim obstaje, zdaje nam się mylnem. Już w przedmowie do pierwszego wydania prof. Bobrzyński uprzedza czytelnika, że wcale nie miał na widoku faktycznej strony dziejów; pragnął jedynie przedstawić, ciągłej w biegu dziejów ulegające zmianie, warunki i podstawy społecznego i państwowego rozwoju Polski. I rzeczywiście zgłębiwszy „Dzieje Polski w zarysie,” a szczególnie porównawszy je z „Dziejami Polski Szujskiego, przyjść musimy do wniosku, że dzieło prof. Bobrzyńskiego—to dzieje prawa i państwa polskiego, to dzieje konstytucjonalizmu dawnej Polski. Na poparcie tego twierdzenia powołać się możemy na zdania takich historyków, jak Szujski (8) i Plebański (9) którzy raczej historję rządów państwo-

wych niż dzieje narodu polskiego w dziele prof. Bobrzyńskiego widzą.

Nakoniec, wspomnieć tu musimy o „Kursie historii prawa polskiego”, wykładanym przez profesora Zygla, dla słuchaczy wydziału prawnego Uniwersytetu Warszawskiego, jako części kursu historii prawodawstw słowiańskich. Szezyry zapał, umiejętność przelania go w słuchaczy, nieustanne studyja naukowe i śledzenie za literaturą wykładanego przedmiotu, cechują wykład prof. Zygla. Wspomnieć tu o nim czuliśmy się w obowiązku, gdyż rozważeniu kwestyi za temat do studyjum niniejszego przez nas obranej, w kursie swym prof. Zygiel wiele miejsca poświęca. (10)

Takie to dzieła mają nam dostarczyć materiału do opracowania niniejszego tematu. Co do studyjów, specjalnie mu poświęconych, takowych z wyjątkiem jednej broszury prof. M. Bobrzyńskiego literatura polska nie posiada.

Prof. Bobrzyński przedstawił swe poglądy w kwestyi podziału dziejów na okresy w swych „Dziejach Polski” i w broszurze: „W imię prawdy dziejowej. Rzecz o zadaniu historii i dzisiejszem jej stanowisku.” Warszawa 1879. Gdy zaś wygłoszone przezeń w tym przedmiocie zdania, krytyka naukową zakwestyonowała, zamieścił, jako odpowiedź, w Niwie za rok 1880, rozprawę p. t. „O podziale historii polskiej na okresy”, która wyszła w oddzielnej obitce (Warszawa 1880 str. 28 in 8-vo). W broszurze tej autor broni swego podziału, obszernie takowy uzasadniając.

Na tem zakończamy rys literatury przedmiotu.

Po wskazaniu źródeł, z jakich zaczerpnęliśmy materiał do niniejszego studyjum, przejść nam wypada do samego przedmiotu, i najpierw wykazać, jakie ma znaczenie podział dziejów na okresy i jakie są warunki umiejętnego przeprowadzenia takowego podziału, a następnie odmawiać, jak dzielił dzieje każdy z wymienionych przez nas badaczy i jakie cechy charakterystyczne nadał każdemu oznaczonemu przezeń okresowi. (d. c. n.)

(10) Ponieważ kurs prof. Zygla drukiem nie jest ogłoszony, nie mamy przeto prawa zdania krytycznego o nim wypowiadać.

## ROZMAITOŚCI.

— „Now. Wrem.” wystąpiło z poglądem dotyczącym sprawy żydowskiej. Niedawno pismo to poświęciło kilka słów tej samej sprawie i wyraziło przekonanie, że komisya żydowska hr. Pahlena ma na celu ograniczenie praw żydów. W jednym z numerów „Jour. de St. Pet.” umieścił dość obszerny pogląd, podpisany przez jednego z „Czytelników,” a popierający właśnie myśl rozszerzenia praw żydowskich. Zdaniem „czytelnika” tedy, sprawa żydowska nie surowymi ograniczającymi przepisami powinna być rozstrzygnięta, ale państwo powinno postarać się o wytworzenie takich warunków dla ludności żydowskiej, której wady nie dadzą się wykorzystać które nie wymrze bo ciągle się rozmnaża i której nie można wypędzić bo jej jest zawiele, przytem ma niewątpliwie zalety, — iżby ludności tej w imię obustronnych interesów lepiej żyć było.

Na to właśnie odpowiada „Now. Wr.” w następującej sposób: „Dziś nie jest tajemnicą dla nikogo, iż wady plemienia żydowskiego są nie do wykorzenienia, albowiem stanowią one właściwości rasowe i liczyć na ich zmianę byłoby to samo, co marzyć, iż murzyny pozbędą się kiedykolwiek włosów kręconych, a czerni indyjanie koloru swej skóry. Co do zalet żydów o tych zamiełzmy. Najlepiej opisał je w znakomitej swej pracy Edward Drumoud „La France Juive” która otworzyła wiele oczu i na zachodzie, a w Rosyi winnaby być wydana kosztem rządu, jako podrecznik dla wszystkich mających styczność z żydami. Albowiem nawet niezaprzeczone zalety żydów, upodobanie w życiu rodzinnem i wynikająca zład pędność, wytrwałość i oszczędność, zdolność do kombinacyj finansowych i t. d. — zwracają się jak wiadomo na szkodę chrześcijan, i dlatego też nie mogą służyć jako dowód na korzyść rozszerzenia ich praw.

„Zgadamy się zresztą z „czytelnikiem,” iż za pośrednictwem samych ograniczeń, trudno jest rozwiązać sprawę żydowską, jeżeli jest ona możebną do rozstrzygnięcia wogółem; albowiem jesteśmy zdania, że żydowska ta choroba powstała historycznie, i jak na wielką chorobę chroniczną tak i na

żydowstwo ratunku niema. Ratunek zaś radykalny może więcej jeszcze zaszkodzić, aniżeli sama choroba. Ale przynieść ulgę cierpieniu można. Zadanie tu jedno. Należy dążyć do tego tylko, ażeby żydzi nie mogli wyzyskiwać ludności chrześcijańskiej, do czego dojść można rozlicznymi ograniczeniami, a jednocześnie trzeba mieć na względzie, iżby też ludność zmniejszała się w Rosyi, gdy dziś wzrasta ona szybko. Zmniejszenie to osiągniętem zostanie pośrednio, przez ograniczenie praw obywatelskich i politycznych; skoro bowiem raz pole żydowskiego wyzyskiwania ograniczy się, nie będzie powodu do przypływu ludności żydowskiej z zewnątrz, Rumunija i Galicyja przestaną nas zaopatrywać w nowych przybyszów. Ale to nie wystarczy, tego zamała, — potrzeba środków stanowczych.

Niezbędnem jest naprzód: bezwzględny zakaz wzbierający żydom przejazdu do Rosyi nawet na 24 godzin, choćby przybywali w składzie ciała dyplomatycznego, lub z propozycją Rotszylldów zapłacenia wszystkich naszych długów państwowych. Następnie, potrzeba dozwolić żydówkom, aby wychodziły za rosyan i katolików. Przypuszczamy, iż korzyść z rodzącej się ztąd progenerity w początku będzie niewielka; lecz należy zauważyć, iż dzięki nieprawym związkom, i dziś Rosyja posiadająca pięćdziesięciomilionową ludność żydowską, nie może uniknąć podobnego krzyżowania się dwóch ras: arabskiej i seniekiej. Różnica wszakże będzie ta, iż przy dozwoleniu na małżeństwa miedzane, potomstwo wychowywane będzie nie w rodzinach żydowskich i nie będzie wyznawało tak niebezpiecznej dla nas wiary mojżeszowej. Przytem, choć część zdobytego majątku powracać będzie w ręce chrześcijan, drogą spadku lub w postaci posagów, darowizn, zapisów i t. d.

„Najważniejszym naturalnie środkiem, byłaby zachęta żydów do emigrowania z Rosyi. Hrabia Ignatjew świetnie scharakteryzował kiedyś znaczenie tego środka, odpowiadając deputacyi „Alliance Israelite” iż żydzi w Rosyi, są ludźmi zupełnie wolnymi, albowiem granica zachodnia stoi zawsze dla nich otworem. Trudność tylko w tem, iż ku poparciu powyższej emigracyi potrzebne są zawsze pieniądze, albowiem samo przez się rozumie się, iż wysiedlać się będą nie bogaci żydzi, ale biedni, nie mający kawałka chleba. Podnosiliśmy już kiedyś tę myśl i gdyby rząd wyznaczył eo rok chociażby po 20 milionów rubli na poparcie wysiedlenia ludności żydowskiej, byłoby to istotaem dobrodziejstwem nie tylko dla żydów, ale i dla całej Rosyi.

— Po niemiecku. Osoby wiarogodne które świeżo powróciły z Niemiec, opowiadają co następuje:

W Hamburgu jednemu z naszych podróżnych odebrano i położono na wagę całą parasol. Na pytanie pasażera: „Jakże pan chce?” czyż mam jechać w podróż bez parasola?” celnik dał godną prusaka odpowiedź: „Jedź pan nago, nie maie to nie obchodzi!” I pan N. zapłacił cla 27 fenigów.

Bezcelność celników w Hamburgu do tego dochodzi stopnia, że przejeżdżającym biednym robotnikom wysypują na wagę kawałki cukru, wieszionego przez nich do użytku w podróży...

Na dworcu kolejowym w Toruniu, zjawia się w wagonie nie umundurowany urzędnik pruski i domaga się wydania paszportów. Zabrawszy je, odjeżdża do odległego o parę wiorst Torunia, nie myśląc bynajmniej o powrocie. Kto chce odebrać pasport, musi jechać do miasta, gdzie odzyskać go może po niemałych trudach. Osoby, nie domyślające się nadużycia, narażone są na napaść i szykany policyi kolejowej i żandarmów granicznych. Gdy w Orlowynie jedna z pań nie mogła dość spiesźnie odnaleźć kluczyka do walizki, celnik pruski poprzerynął obowiązania, gwałtem poodrywał zamki, i przetrząsnawszy wszystko, zostawił podróżnej rzeczy porozrzucane...

W Berlinie spotyka podróżnych nadzwyczajne zdzierstwo. W jednym z hotelów za porcję kawy białej, każą płacić 2 marki 50 fenigów (1 rs. 25 k.) a za inne przedmioty w takim samym stosunku!

— Wydalony. „Dziennik Łódzki” pisze: P. Ludwik Gutzman z Łodzi, majster szewski, wyjechał z kraju za paszportem legalnym opatrzoną wiza konsulatni niemieckiego w Warszawie i po kilku dniach pobytu we Wrocławiu, otrzymał następujące rozporządzenie policyi: „Królewskie prezydijum policyi we Wrocławiu. Nr. dziennika III. 2173. 7. 1886 Wrocław, 28 lipca 1886. Niniejszem zawiadamiamy, że dalszy pobyt w tem państwie zostaje panu wzbroniony, wzywamy przeto, abyś w ciągu dni sześciu, unikając kary pieniężnej w kwocie 60-ciu marek, względnie tygodnia aresztu, opuścił Wrocław i granice państwa pruskiego. Prezydent policyi (podpis nieczytelny). Do p. Ludwika Gutzmana, szewca, w miejscu, ulica Szyllera 26, u Wutkego.”

— Meble gięte. Jedna z fabryk mebli giętych uprzedzając konkurencję niemiecką, rozpoczęła podobno wywóz swego towaru na Kaukaz, gdzie znalazła dobre powodzenie. Dla rozwinięcia tego interesu, potrzeba jednak założyć w Tyrzysie, lub innej miejscowości, odpowiednie warsztaty do składania takich mebli ze sztuk pojedynczych i do opakowywania.

— Baron Mikołaj Wesselenyi, magnat węgierski, był jednym z najwybitniejszych przywódców opozycyi w sejmie węgierskim i dlatego nielubiany u dworu. Cesarz Franciszek kazał mu się stawić przed sobą. Ujrawszy, go z całą namiętnością obrzucił go gradem wyrzutów. Wessele-

(7) Dawne prawo prywatne polskie str. VII.

(8) Kilka uwag o „Dziejach Polski” Bobrzyńskiego. Niwa 1879, str. 718.

(9) Patrz artykuł w książce „Pięćdziesięcioletnia działalność J. I. Kraszewskiego. Warszawa 1880.”

ny i z zupełnym spokojem wysłuchał, a kiedy cesarz w końcu dodał: „Teraz zrozumiałeś mnie, ty węgierski buntownik!” — węgier uchylając głowy z naiwnym wyrazem twarzy, odpowiedział tylko: „Niks deutsch...”

To doprowadziło cesarza do ostatniej pasy; poczerwiał cały, odwrócił się i odszedł.

**— Pewien nowonabywca** majątku, gdzie nigdy nie znajdowała się siedziba króla polskiego i z tych czasów pozostał wspaniały ogród, oprowadzając po nim sąsiadów, chciał zaznaczyć swe przywiązanie do pamiątek historycznych w następujący sposób: „Widzi pan ten modrzew? To bardzo stary modrzew—jego może Sobieski sadził, a może się przypatrywał jak go sadzili; dlatego on dla mnie dużo wart; ja panu powiem, żeby nie skłamać, co on wart dla mnie około 500 rs.”

Szkoda, że właściciel modrzewia nie obliczył sumy dokładniej i z kopiejkami.

**— W jednym z dzienników berlińskich** czytać można następujące ogłoszenie: „Znaleziona została na ulicy Molchow turniura. Zawartość: chustka do nosa, ręcznik, pewna ilość waty, okrycie i inne części damskiego ubrania. Do odebrania: Ludwigstr. nr. 18” Sądząc z zawartości, musiała to być turniura nielada.

**— Rachunek** z przedstawienia teatralnego danego w Piotrkowie na Tanią Kuchnię — przez Artystów Krańkowskich.

Dochód brutto wynosił . . . . .	Rs. k.
„ Koszta . . . . .	170 99
„ „ . . . . .	58 69
	112 30
Półowa czystego zysku . . . . .	56 15
Bilety dla władz . . . . .	2 50
Naddatki . . . . .	4 50
<b>Czysty zysk dla Taniej Kuchni</b>	<b>58 15</b>

Piotrków 14 sierpnia 1886 r.

Libicka, J. Kański.

**— „Niwy“ zeszyt Nr. 280** wyszedł z druku i zawiera: I) „Na bezdrożu.”—II) „Figiel amorka” Powiastka, przez T. J. Chojńskiego (ciąg dalszy).—III) „Historja prawa wieczysto-czynszowego w guberniach Północno i Południowo-Zachodnich Cesarstwa Rosyjskiego,” przez A. Rambowskiego (część trzecia).—IV) „Kronika ekonomiczna,” IV, przez Z. O.—V) „Sprawy bieżące,” V, napisał Chorąży.—VI) „Przegląd literacki:” I), Władysława Smoleńskiego —Kuznica Kollatajowska; studjum historyczne przez A. R.—VII) „Kronika handlowa,” XI, napisał, J. Wł.

**Licytacje w obrębie gubernii.**

W d 19 (31) sierp. w Milejowie na sprzedaż żyta pszenicy i jęczmienia w słomie, oraz mebli i parowej lokomobili, od sumy 2290 rs.

— Tegoż dnia w majątku Kamocinek na sprzedaż żyta i krów od sumy 525 rs.

— 22 grud. (3 stycz.) 1886/7 r. w sądzie zjazdowym w Piotrkowie na sprzedaż nieruchomości w m. Piotrkowie przy ul. Peterburskiej pod № 198-240 położonej od sumy 20,000.

— 20 wrześ. (2 paźdz.) tamże na sprzedaż nieruchomości w m. Piotrkowie przy ul. Słowiańskiej pod № 101-252 od sumy 500 rs.

— 30 wrześ. ( 12 paźdz.) tamże na sprzedaż nieruchomości w osadzie Wolborzu pod №-59 od sumy 500 rs.

— Tegoż dnia, tamże na sprzedaż około 3 morg ziemi na terytorjum m. Piotrkowa od sumy 300 rs.

— 18 (30) sierp. w urzędzie p-tu Łaskiego na entrepryzę reparacji 3-eh studzien miejskich w m. Zgierzu od sumy 429 rs. 31 kop. (in minus.)

— 4 (16) i 11 (23) wrześ na rynku m. Łasku na sprzedaż około 196 korcy żyta, od sumy 3 rs. 30 kop. za korzec.

— 25 sierp. (6 wrześ.) w urzędzie gminy Krzyżanowice na przebudowanie mostu na drodze II rzędu we wsi Jeżowie od sumy 663 rs. 80 kop.

— 26 sierp. (7 wrześ.) w m. Łodzi przy ul. Widozkiej pod №-1106 na sprzedaż różnych mebli i około 50 pudów chmielu, od sumy 706 rs.

— 2 (14) i 3 (15) wrześ. w urzędzie zachodniego Okręgu Górniczego w Dąbrowie na dostawę różnych materiałów dla składów i kopalni tegoż okręgu w ciągu 1887 r.

— 21 sierp. (2 wrześ.) w urzędzie guberni Piotrkowskiej na entrepryzę reparacji gmachu po-Bernadyńskiego, gdzie mieści się drukarnia i archiwum od sumy 213 rs. 27 kop.

— 28 sierpnia (9) września r. b. w biurze p-tu nowo-radomskiego na 3-eh letnie wydzierżawienie dochodu z bydłobójni w m. Noworadomsku — od rs. 1842.

— W d. 30 września rb. w sądzie zjazdowym okręgu I guberni piotrkowskiej na sprzedaż nieruchomości w m. Łodzi przy ul. Południowej pod № 492 położonej—od rs. 9000.

— Tegoż dnia i w tymże sądzie na sprzedaż nieruchomości w m. Łodzi pod № 281-a położonej od rs. 1000.

— Towarzystwo Kredyt. m. Łodzi wystawia na sprzedaż następujące posesyje w tymże mieście położone:

1) 24 października (5) listopada r. b. przy ulicy Zawadzkiej pod № 443 — od rs. 18,000 2) 27 października (8) listopada r. b. przy ulicy Nowomiejskiej i Północnej pod № 232 i 296—od rs. 34200. 3) 28 października (9) listopada r. b. przy drodze Wiązowskiej pod № 321 E. E.—od rs. 4,500.

W d. 10 (22) listopada r. b. w sądzie okręgu piotrk. na sprzedaż dóbr Młodawin Górny w p-cie łaskim — od rs. 20,000.

— tegoż dnia i w tymże sądzie, na sprzedaż dóbr Bronowice A i B—i Strzemboszezewice B. w p-cie brzezińskim—od rs. 16,800.

— tegoż dnia i w tymże sądzie na sprzedaż osady fabrycznej Mieczków we wsi Dobieszekowie p-tu rzezińskiego — od rs. 16,500.

— tegoż dnia i w tymże sądzie na sprzedaż dóbr Wielkowiecko p-cie częstochowskim—od rs. 96,000.

— 11 (23) września r. b. w rządzie gub. piotrkowskim na 3-eh letnie wydzierżawienie dochodów z bydłobójni w miastach: Łodzi od rs. 21,126, Piotrkowie od rs. 4,240 kop. 99, Częstochowie od rs. 4626 kop. 10—tudzież dochodów jarmacznego, targowego i brukowego w m. Piotrkowie — od rs 3010 rocznie.

**— Ruch pociągów** drogi żelaznej na stacyi Piotrków od dnia 1 (13) Maja 1886 roku.

	god.	min.	
a) w kierunku od Warszawy do Granicy:			
Kurjerski (2 klasy) przych.	12	51	popółnoocy.
„ „ odchodzi	12	56	
Pospieszny (3 klasy) przych.	9	51	przed połudn.
„ „ odchodzi	9	59	
Osobowy (3 klasy) przych.	4	4	po południu
„ „ odchodzi	4	14	
b) w kierunku od Granicy do Warszawy:			
Kuryjerski (2 klasy) przych.	2	38	po półnoocy
„ „ odchodzi	2	43	
Pospieszny (3 klasy) przych.	5	40	po południu
„ „ odchodzi	5	48	
Osobowy (3 klasy) przych.	12	44	po południu
„ „ odchodzi	12	54	
c) Pociąg miejscowy (3 klasy) wychodzi z Piotrkowa	4	45	rano
Przychodzi z Warszawy	11	25	wieczorem.

O G Ł O S Z E N I A.

**Ubezpieczenia życiowe**

1) **Ubezpieczenia na wypadek śmierci** (zabezpieczenie bytu rodziny).

2) **Ubezpieczenia na dożycie** (zabezpieczenie starości, posagów dla córek, etc.)

3) **Ubezpieczenia rent** (dochód na podeszłe lata, dochód dla wdów, stypendyja dla chłopców, etc.)

Bliższe szczegóły zawierają się w 3-eh oddzielnych broszurach **Towarzystwa Ubezpieczeń „Rosyja“** które na żądanie wydaje i rozsyła bezpłatnie Zarząd Towarzystwa w Petersburgu (Wielka Morska № 13), **Jeneralna Reprezentacja w Warszawie** (Marszałkowska № 144) oraz agentury Towarzystwa znajdujące się we wszystkich miastach Cesarstwa i Królestwa Polskiego.

W r. 1885. Towarzystwo Ubezpieczeń „Rosyja“ zawarło 5,767 nowych ubezpieczeń życiowych na sumę

**Rs. 16,376,290.**

Dywidenda dla ubezpieczonych wynosi na 1886 r. 12%.

(R. i Fr. № 7730.

(6-5)

**Znaczne wynagrodzenie.**

Otrzymać mogą posiadający liczną klientelę pośród świata handlowego, za przyjęcie komisji lub agentury większego przedsiębiorstwa przemysłowego. Adresować oferty pod lit. F. do Biura ogłoszeń „Rajchman i Frendler” **Warszawa** Senatorska 26.

(R. i Fr. № 8318)

(2-2)

**Dr. Michałowski**

wrócił do „Petrokowa.”

(4-3)

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 5 powieści p. t. „Sława”.

**Pokój dla kawalera**

do wynajęcia z usługą i opałem. Wiadomość u p. Knorr, ulica Pocztowa, dom Szulca.

(4-2)

**Skład Węgla**

**Włodzimierza Sapińskiego**  
(Róg alei Aleksandryjskiej)

**Ceny**

Korzec węgla kamiennych grubych 240 £. . . . . 85 k.

Korzec węgla kamiennych grubych na skrzyźnie 10 korewe zamknięte (przez Magistrat Warszawski ostemplowane) . . . . . 83 k.

Pud koksu (korzec 4 pudy) . 25 k.

Korzec węgla drzewnych . 1 rs.

**Uwaga.** Na miasto rozsyła się w koczach półkorewowych wagi 130 £.

(13-4)

**Włodzimierza Sapińskiego**

**Wynajem Pojazdów**

Dom W-go Adama Golembowskiego wprost Poczty

**Karety, Powozy, Bryki, Konie.**

**Tramwaj do kapieli** i na spacer.

(13-4)

**D-r RUSS**

po całorocznych specjalnych studyjach w Wiedniu, powrócił do Warszawy. **Przyjmuje z chorobami kobiet** od 8—10 z rana i od 3—5 po południu,—ul. Sto-Jerska № 17 nowy.

(R. i Fr. № 8649) (3-1)

**Pracownia artystyczna**

oraz

**Skład porcelany, fajansu i szkła, A. Pagowskiej i S-ki**

dom Włodarskiego w 2-iej alei w Częstochowie.

Przyjmuje obstatunki na okna kościelne z dowolnym wyborem przedmiotu; wszelkie **obrazy do reparacji** i odświeżenia; jak również obstatunki dorobek do uszkodzonych serwisów i **monogramy na porcelanie**.—Pracownia przyjmuje na naukę, pragnących się kształcić w różnych rodzajach **malarstwa, rysunku i heliominiatur.** (3-2)

**MIESZKANIE.**

W każdym czasie do odstąpienia z 6 pokoi w domu d-ra Rontalera.

(3-2)

**Biuro Ogłoszeń**

dla wszystkich dzienników krajowych i zagranicznych

**Rajchman i Frendler**

w Warszawie, ulica Senatorska № 26.

Redaktor i wydawca **Miroslaw Dobrzański.**

sem—na pochylym szczyście skały, jest miejsce, gdzie  
 — Nad tą wioską—mówił dalej chory słaby pto-  
 Przeszł widać.  
 ką wioseczkę, niedaleko zład w górach?  
 mojej prosby. Czy znasz pan, gdzie zarosta czerkies-  
 blagam pana o spełnienie jeszcze jednej, ostatniej  
 oto tu znajdziesz tę jedną po mnie pozostałość. Ale  
 — Spuściam się na pańską obietnicę. Patrz pan,  
 stworach nadziemskich na potężnym skrzydle poezji,  
 żyłeni jak jedno mgienie oka, unosząc się w prze-  
 two się entuzjastycznie. Ale powiadam, że noc ową prze-  
 od tej, za jaką ty się chcesz wydać, niechętnie i nieka-  
 że nam duszę trzeźwą, może nawet bar dziej realną,  
 jawno, nie tu nie pomoże: miłośną sposobność poznać,  
 li na dalekie miejsce. Usmiech pani, Maryjo Andre-  
 którego powiemieś, niedługo przemożesz być wy-  
 jak ów duch pański, jak ów gwarkotomy wieher boży,  
 Po kilku zwrotkach, nagłe, porwał mnie zachwył,  
 wrzenie, jakie utwor Jana na mnie wywarł.  
 rackiej oceny tego dzieła; zwracam tylko uwagę na  
 mem brytanickim. Powstrzymaj się zupełnie od lite-  
 Nie chce wcale biednego Jana równać z obrzy-  
 chwyć nad „Kaneim” Byrona!  
 lachach młodzieńczych, gdy całą noc spędziłem w za-  
 Cos podobnego nie zdarzyło mi się dawno, chyba w  
 zboczy, blizszość już złotem wiosennego poranku.  
 czytaniu rękopisanu w okno, ujrzałem zielon górskich  
 Złaktem się prawie, gdy spojrzawszy po prze-  
 sze poematu...  
 gastej, chwytającego rozognionem okiem ostatnie wier-  
 rany, zastak mnie jeszcze przy lampie narpół przy-  
 wie rozświetlające powieki. Tymczasem pierwszy swi-  
 ezajem czytanie pierwszych wierszy, ziewając i leni-  
 czegoś jedynie patologicznie zajmującego. Jakóż rozpo-  
 wałem. Wziąłem go do ręki, oczekując, przyznam się,  
 dzie z czeskiej wioski na stole przy łóżku przyjez-  
 sporym zwitku poezji Jana, który sobie po przyjez-  
 stronie. Przy padłem wzrok mój zatrzymał się na

wała się obejmować poezję Jana, natężnionym lotem  
 swoim! Widać było, że w tej poezji wypowiedział chciał  
 cały swój pogląd na świat, że technął w nią całą swą  
 duszę. Przyroda, wszystkie stosunki społeczne, wszy-  
 stkie zapasy i przeznaczenia ludzkości, zjawiały się przed  
 oczyma duszy mojej w zupełne nowem, czarownem  
 oświetleniu, jakie stwarzała tylko genijusze. A jak  
 Dantjeska Beatrycze, nosiła się przed nim, w tej  
 poetycznej wdrowce, owa ezarująca postać, o której  
 mi już wspominał. Poemat kończył się tu, na Kauka-  
 zie, którego kraśna przyroda w nieśmiałym pié-  
 knych barwach w nim się odbijała. Poeta kończył  
 swój utwor szczytną apoteozą do świata, a tajemni-  
 cza jego ukończone kładła mu na skronie wieniec nie-  
 smiertelności...  
 Dzieło to, wedle mego sądu, istotnie godne by-  
 to nieśmiertelnej sławy.  
 — A co się stało z tą poezją? Gdzie jest—  
 zawałem mimowolnie, gdy opowiadający zamilkł na  
 chwilę.  
 — Zaraz dowiesz się panstwo—odrzekł Tabunow.  
 Podczas drugiej wizyty u chorego, sposterzegłem  
 że stan jego w oczach się pogorsza. Z litoscią po-  
 gładalem na to wychudłe, zsmiałe oblicze, i drżącemi  
 od wzruszenia słowy oddawalem należną chwale jego  
 poetycznemu dziełu. Wysłuchał spokojnie, bez naj-  
 mniejszej oznaki radości, jakby nawet innego zdania  
 się nie spodziewał. Odbierając odemnie rękopis,  
 mówił:  
 — Spuściam się na pańską obietnicę. Patrz pan,  
 stworach nadziemskich na potężnym skrzydle poezji,  
 żyłeni jak jedno mgienie oka, unosząc się w prze-  
 two się entuzjastycznie. Ale powiadam, że noc ową prze-  
 od tej, za jaką ty się chcesz wydać, niechętnie i nieka-  
 że nam duszę trzeźwą, może nawet bar dziej realną,  
 jawno, nie tu nie pomoże: miłośną sposobność poznać,  
 li na dalekie miejsce. Usmiech pani, Maryjo Andre-  
 którego powiemieś, niedługo przemożesz być wy-  
 jak ów duch pański, jak ów gwarkotomy wieher boży,  
 Po kilku zwrotkach, nagłe, porwał mnie zachwył,  
 wrzenie, jakie utwor Jana na mnie wywarł.  
 rackiej oceny tego dzieła; zwracam tylko uwagę na  
 mem brytanickim. Powstrzymaj się zupełnie od lite-  
 Nie chce wcale biednego Jana równać z obrzy-  
 chwyć nad „Kaneim” Byrona!  
 lachach młodzieńczych, gdy całą noc spędziłem w za-  
 Cos podobnego nie zdarzyło mi się dawno, chyba w  
 zboczy, blizszość już złotem wiosennego poranku.  
 czytaniu rękopisanu w okno, ujrzałem zielon górskich  
 Złaktem się prawie, gdy spojrzawszy po prze-  
 sze poematu...  
 gastej, chwytającego rozognionem okiem ostatnie wier-  
 rany, zastak mnie jeszcze przy lampie narpół przy-  
 wie rozświetlające powieki. Tymczasem pierwszy swi-  
 ezajem czytanie pierwszych wierszy, ziewając i leni-  
 czegoś jedynie patologicznie zajmującego. Jakóż rozpo-  
 wałem. Wziąłem go do ręki, oczekując, przyznam się,  
 dzie z czeskiej wioski na stole przy łóżku przyjez-  
 sporym zwitku poezji Jana, który sobie po przyjez-  
 stronie. Przy padłem wzrok mój zatrzymał się na

lego na postać wiejskiej dziewczyny, która tuż obok  
 stała, zasłaniając oczy rękami, z pod których sływały  
 obfite łzy, drgając na świeżych ustach, jak rosa poran-  
 na na dojrzałych wiśniach.  
 Jakież przeciwieństwo obok wynędzniałych zwłok  
 przedstawiała ta hoża postać, pełna młodego życia, z  
 bogatym, jasnym włosom, w kolorowej sukience i czer-  
 wonym obcisłym gorseciku.  
 Spojrzałem powtórnie w lica zmarłego, i zauwa-  
 żyłem, że na półrozwartych ustach jego spoczywa spo-  
 kojny, błogi uśmiech. Był to może ślad szczęścia jak-  
 kiem go obdarzyła ostatnia chwila życia. Umarł za-  
 pewne tak, jak sobie życzył: w objęciach wymarzonej,  
 powiewnej, modrookiej kochanki—głowa mu opadła na  
 poduszki, jak dawniej na pień jesionu—czy się zam-  
 knęły—a nad umierającym powiał słodki szept o mi-  
 łości i sławie, o nieśmiertelności w pieśni, którą po  
 sobie zostawia na ziemi...  
 Przypomniałem sobie obietnicę uczynioną cho-  
 remu.  
 Sprawdziwszy śmierć Jana, zbliżyłem się do łóż-  
 ka, na którym leżał. Nie było ani poduszek, ani sien-  
 nika—było ono już puste!  
 Spytałem się rodziców, czy nie znaleźli jakich  
 papierów. Stroskany ojciec spojrział pytająco na mał-  
 żonkę, a ta zaprzeczyła poruszeniem głowy.  
 Wtedy podeszła do mnie dziewczyna z zapu-  
 ebniętymi od płaczu oczami i łkając mówiła:  
 — Czy pan pyta o te papiery, które Jan zapi-  
 sywał i pod głową w łóżku chował?  
 — Tak, o nie właśnie.  
 — Ja zabrałem; a stało się to dlatego, że matka  
 Jana prosiła mnie, bym z nią czuwała przy chorym.  
 Było to wczoraj wieczorem.—Jan drzynał. Pa-  
 miętając o słowach pana, jak bardzo mu to pisanie  
 szkodzi, usunęłam ze stołu kałamarz, pióro i papier. Po-  
 tem modliłyśmy się po cichu, siedząc w tym oto kątku.

przez które zrzadka zabłądzi do szarego, tajemnicze-  
 czego mroku, promień słoneczny, igrając jak błędny  
 ognik na wzorzystym mchu aksamicie. Pośród tej le-  
 śnej głuszy wystawie sobie jeszcze napół rozwalony  
 kościółek. Konary starych dębów gotykami oknami  
 do próżnego wnętrza się dostawszy, liściastą swą gę-  
 stwiną zastępują dach zwalony; w omszonej zaś wie-  
 zycznej z wyrzeźbionym krzyżem, zamiast poświęco-  
 nych dzwonów, już tylko pieśń leśnego ptastwa się od-  
 zywa.  
 Ustroń ta leśna wyglądała niegdyś inaczej! Opu-  
 stoszale górskie siedziby kaukazkie podobne są raczej  
 do ruin skalnych. Nad skałą błękitnieje niebo; na  
 skale, jakby na tarasie, przyczepiona gromadka niskich,  
 płaskich domków, z wazutkami okienkami jak strzel-  
 nice warowni; niekiedy, wznosi się jeszcze z aulu zę-  
 bata wieżyczka, znacznej wysokości, a całość nie róż-  
 ni się barwą od skalistej ściany. Wogóle widok ten  
 przypomina bardzo żywo niektóre czeskie, wietrzejące  
 grupy skał.  
 Czerkiesi aul opuścili, nieprzyjacieli spustoszył go,  
 a bujna, bajecznie bujna przyroda, zawładnęła niepo-  
 dzielnie tą pustą masą kamieni. W tym stosunkowo  
 krótkim przeciągu czasu, od chwili kiedy ostatni mie-  
 szkaniec rozstał się z rodzinnym progiem, wszech-  
 władna ta monarchini zdołała pokryć wszystko nieprze-  
 niknionym gąszczem leśnym.  
 Gdyśmy sobie za pomocą kindżałów, przez gor-  
 dyjskie węzły wijących się roślin i tarniny utworwali  
 drogę do środka ruin, rozpoznaliśmy schody, prowa-  
 dzące do narpół rozwalonej, kamiennej chaty. Woko-  
 ło rozrzuconych budynków, bujały kolczaste krzewy  
 i gęste zarośla, sięgające aż ponad strzechę, gdzie znów  
 panowały olbrzymie paprocie i inne rośliny w cieniu  
 mocno splecionych gałęzi, któremi młode drzewo pu-  
 stą osłaniało chatę. Przy wejściu gad podniósł się i  
 słowa.

wierchołku tego krzyża dwa świeże wieńce z lesnych  
Kiedym tu był ostatnim razem, znalazłem na  
kowiele swoim listem.  
drzewiany krzyż, tylko że gdzieś wino opłotko go cał-  
w cieniu tego jesionu... Nad grobem stoi tam prosty  
szczęśliwy Jan spoczywa rzeczywiście tu przed nami,  
Przyrzekłem i dotrzymałem przyrzeczenia. Nie-  
Czy mi pan to przyrzeka?

postara, aby ostatnie życzenie moje było spełnione.  
nem! pomnikami ementara. Niech się pan koniecznie  
robliwego wymyśla i porzeczababy mnie między klas-  
Kodzie moi znalazłby tę prośbę za wyraz cho-  
Gdy umrę... tam choć być pochowany.

wieki...  
Jakże pragnąłem w takich chwilach spojrzeć na  
szepotał mi słowa nadziemskiej miłości.  
owo widziało, skłaniając się ku mnie z łubosią,  
raj wśród jego liści, zdawało mi się, jakoby piękne  
głowa opadała mi na piersi jesionu, i gdy wiatr szem-  
objęła, zamykając powieki, z niewysławioną rozkoszą  
bie szablrowych jej oczu. Pochylała się wtedy w me  
ku niej ramiona, łopiąca całą duszę w tajemniczą głą-  
lok, z rozwartymi ramionami. Leskno też wyciąganiem  
bianej niemiłej; chyliła się ku mnie jak białe ob-  
ła z wolna postać dziewiczą, podobną do mej uwiel-  
Lekka mgła unosząca się w dali nad lasem przybiera-  
tylko ona szepotała mi swe dziwów pełne powieści,  
pożył. Wszystko milczało dokola w uroczyskiej ciszy,  
błękit nieba. Przebywałem tu tylko w towarzysztwie  
zasięgi, tylko wspaniałe góry, a nad sobą piękny

mi w tej samotności, gdyż widziałem wokół, jak oko  
w ręk. Maryleni i pisarem; niebiańsko, błogo było  
całymi godzinami, z papieżem na kolanach i otwórkem  
jesion opleciony winem. W jego to cieniu siedywałem  
mogłem. Nad brzegiem przepaści, stoi tam samotny  
bywałem najczęściej, dopóki z domu jeszcze wychodził  
strawielem najpiękniejsze chwile mego życia. Tam prze-

głodu; potem znowu zaszumiał samowar.  
Nasyciwszy oczy, pomyślniejszy o zaspokojeniu  
Z początku rozmowa toczyła się o czerkieskim  
nule i wogóle o Czerkiesach; przytem każdy wypo-  
wiadał osobiste wrażenia, zwracając uwagę, że teraz  
tak spokojnie i bezpiecznie można siedzieć tu i roz-  
prawać, kiedy przed niedawnym jeszcze czasem, dzielny  
iud górski mieszkał tu w swych kamiennych gniaz-  
dach, fanatycznie przywiązany do islamu i bezgranicz-

nej swobody.  
Naraz Ułjana, która podczas tej rozmowy ma-  
rzyła cicha, ze spuszczeniem w ziemie oczyma, zapy-  
tała niesmiało lekarza:  
— A cóż się stało z pańskim chórem w czer-  
kiej osadzie, Pawle Siemionowiczu?

— A tak, przedewszystkiem musisz pan skon-  
czyć swoją cokolwiek zaobszerną definitywną sławę —  
zawolał zartobliwie Sushkow. Inni poparli to życze-  
nie gorliwie. Tabunow więc ponowo zabrał się do o-  
powiadania.  
— Najprzód, chcęcie państwo zapewne wiedzieć,  
czy poetyczne powołanie mego pacjenta było prawdą,  
czy tylko chorobliwym wymysłem? Niech się pani nie  
obawia, Maryjo Andrejewno, nie będe się wdawał w  
literacko-krytyczny rozbiór, do którego nie czuję w  
sobie ani chęci, ani zdolności. Opowiem tylko państwu  
poprostu moje wrażenie.

Wieczorem, tego dnia, kiedy z Metodjówką  
wróciłem, fotofyłem się zmęczony do łóżka i, ziewa-  
jąc, leniwie sięgnąłem po jakąkolwiek książkę, aby  
według zwyczajn, przed zasnięciem, przeczytać parę

zasyczał groźnie, jakby zwiedzającym chciał bronić  
wstępu do chaty, której teraz był jedynym miesz-  
kańcem.

Lekarz objaśnił nas, że w tych pustkach nie szcze-  
gólnego nie znajdziemy; wróciliśmy zatem, gdyż dal-  
sze wnikanie do tych dzikich, wężami i innemi płaz-  
zami ożywionych gruzów, nabawiało nas tylko strachu i  
kosztowało wiele trudu.

Na pochyłości wzgórze rozbiliśmy namiot, lecz  
tylko w przenośnem znaczeniu, ponieważ kępy gę-  
stych, kwitnących krzewów i drzew, użyczały nam  
tak cienistego i wonnego przytulku, że płótna roz-  
ciągać nie było potrzeba.

Otwierał się ztąd na wszystkie strony rozległy  
widok. Okoliczne góry, jak tylko oko zasięgnęło, wyp-  
pełniały przestwór, naksztalt bałwanów wzburzonego  
morza, rozmaitej wielkości i kształtu.

Było tu wszystko, czego tylko malarz zapragnąć  
może: góry i doliny, pokryte gęstym lasem we wszyst-  
kich odcieniach zieloności; różnobarwne, fantastyczne  
skały; powabne, kwitnące kotliny; cieniste, ciche wą-  
wozy; w dali, porwanym muslinem mgły nawpół o-  
słonięte, śnieżne gór wierchołki; wreszcie morze wy-  
glądające przez rozpadlinę dalekich skał, jak lza zwil-  
żone szafirowe oko.

Jednakże czegoś tu niedostawało. Żadne oto miasto  
nie rozpościerało się w dolinie, żadna wieżyczka nie  
wyglądała z za lasów, żadna chałupka nie tuliła się do  
cichych skał; ani jedna postać rolnika, pasterza lub  
myśliwego nie ożywiała krainy; na wielkiej tej prze-  
strzeni nie było widać nigdzie ani uprawnego łanu,  
ani jakiegokolwiek znaku ludzkiego życia. Z majesta-  
tecznym, uroczystym spokojem, władała tu przyroda,  
w całej potęgę piękności i wszechmocy swojej.

Na zachodniej stronie zbocza, właśnie wprost te-  
go miejsca, gdzieśmy wypoczywali, pochyłość wzgórze  
z łagodnej przechodziła w nadzwyczaj stromą, prawie

kwiatów. Bez wątpienia uwily je i złożyły matka Ja-  
na i piękna owa dziewczyna, która pomimo braku  
wzajemności, tak gorąco kochała poetę.

Lekarz zrobił mały przestanek.

Wszystcyśmy w milczeniu zwrócili zdumione oczy  
w stronę jesionu. Wszystcyśmy byli widocznie wzruszeni  
tem, że znajdujemy się tak blisko grobu zdolnego  
i w kwiecie młodości zmarłego poety. Z ust Maryi  
Andrejewny znikł zwyczajny, pogardliwy uśmiech.  
W pięknych oczach Ulany kręciły się łzy. Mnie  
zdawało się, że na chwilę ujrzałem w cieniu jesionu,  
pod zwieszającym się wieńcem szmaragdowego winne-  
go liścia, siedzącą mężką postać, z bladą twarzą okolo-  
ną czarnymi włosami, z okiem marząco w dal  
utkwionem.

— Gdym po raz trzeci młodego pacjenta w  
Metodjówce odwiedził—kończył opowiadanie Tabu-  
now—znalazłem go na środku izby, na niskiem ruszto-  
waniu urządzonem z desek i stolków, odzianem w  
prostą, śmiertelną koszulę, z rękami na piersiach  
skrzyżowanemi. Obsypany był cały ognistemi kwiatami  
azalii i obrazkami świętych. Na ziemi u stóp  
klęczała owa dziewczyna, która mnie, przy pierwszym  
powrocie od chorego, w lesie zatrzymała. Ojciec stał  
przy oknie, skamieniały z bólu, z okiem martwo utkwio-  
nem w ziemię; matka zaś lkała i płakała i łamała  
ręce, wśród pocieszających ją sąsiadek. Wejście moje  
wzmogło w izbie głośny płacz i narzekania. Mileząc  
podszedłem do nieboszczyka i spojrzałem na twarz  
jego.

Niewiele się zmieniła; tylko przy zapadłych o-  
czach jeszcze wyraźniej zarysowały się jej kontu-  
ry... Czemuż jest oblicze zmarłego, jeżeli nie nikną-  
cym cieniem oddalającej się osoby. Przekroczyła ona  
już próg domu... na chwilę mignie nam jeszcze jej  
cień na drzwiach lub ścianie... i wreszcie zniknie na  
zawsze!... Powoli wzrok mój przeszedł z twarzy zmar-